

Pamięć historyczna i symbole

Niemcy powinni respektować szczególną wrażliwość historyczną Polaków. Tak wyraził się przewodniczący Parlamentu Europejskiego Hans Gert Pöttering. Tego samego zdania jest wieloletni korespondent „Süddeutsche Zeitung” w Warszawie Thomas Urban i zapewne wielu innych Niemców. To miłe, ale było jeszcze przyjemniej, gdybyśmy mieli pewność, że wszyscy komplementujący nas adwersarze mają solidną wiedzę historyczną i przekonanie, że prawdy nie da się ustalać w drodze kompromisów, porozumień i kontraktów, by przedstawić ją potem na wystawie. Gdyby rządziło nami wyłącznie dążenie do poszukiwania prawdy, może wówczas konieczność uwzględniania czyjejs szczególnej wrażliwości historycznej nie byłaby w ogóle potrzebna.

Wskutek decyzji Parlamentu Europejskiego o utworzeniu stałej wystawy pod nazwą „Dom Historii Europejskiej” poszukiwanie prawdy historycznej zostanie poddane poważnemu sprawdzianowi. Powołana (dość arbitralnie) przez przewodniczącego Parlamentu Europejskiego komisja historyków przygotowała projekt ekspozycji, w której nie wspomniano o rozbiorach, w wyniku których potężne państwo polskie przestało istnieć i to za sprawą jego sąsiadów. Nie wspomniano o bitwie pod Grunwaldem, o odsieczy wiedeńskiej, o wojnie polsko-bolszewickiej. Z najnowszej historii pominięto rolę polskiego państwa podziemnego, Armii Krajowej, zapomniano o Powstaniu Warszawskim. Choć o polskiej „Solidarności” projekt mówi dużo,

to jednak upadek komunizmu w Europie wiąże głównie z upadkiem Muru Berlińskiego.

Wśród 22 poprawek, jakie przedstawił Hansowi Pötteringowi eurodeputowany prof. Wojciech Roszkowski, jest też nasze oczekiwanie na wyraźne podkreślenie oczywistego historycznego faktu, że europejską cywilizację kształtowały grecka filozofia, jej stosunek do czystej formy, tak widoczny w nauce i sztuce, rzymski stosunek do społeczności zawarty w kodyfikacjach oraz religia chrześcijańska. I bardzo słusznie, gdyż jak podkreślał Ojciec Józef Maria Bocheński: „Te trzy wyraźne cechy występują oczywiście w innych cywilizacjach, ale osobno. Nigdzie poza cywilizacją europejską - stąd jej przewaga - razem nie występują”. Jeżeli zatem niemiecka i francuska wrażliwość historyczna zaakceptuje wspomniany projekt zapisu, będzie to wielki sukces polskich historyków. Tym bardziej gdy przypomnimy sobie fakt odrzucenia podobnej w treści preambuły do traktatu ustanawiającego Konstytucję dla Europy.

Każdy z zapomnianych czy pominiętych świadomie fragmentów europejskiej historii, szczególnie tych tak ważnych z naszego punktu widzenia, aż prosi się o jakiś historyczny komentarz. Mnie najbardziej zaciekało pominięcie bitwy pod Grunwaldem. Uważam, że historia i pamięć niemiecka także doznałyby straty. Zacznę od osobistego wspomnienia. Po raz pierwszy na polu dawnej bitwy byłem z moim ojcem, a było to 17 lipca 1960 roku, w 550. rocznicę polskiego zwycięstwa. Zgromadziło się wtedy

ponad 200 tysięcy osób, w tym ponad 40-tysięczna grupa uczestników Grunwaldzkiego Zlotu Młodzieży i Harcerzy. Była defilada, parada lotnictwa wojskowego, saluty armatnie, itd. A po południu, w nieistniejącym już dawno w Olsztynie kinie Odrodzenie, wyświetlono film Aleksandra Forda „Krzyżacy”, w czasie którego ojciec zasłonił mi oczy, bym jako mały chłopiec nie oglądał, co Krzyżacy robią Jurandowi.

Okazuje się, że bitwa pod Grunwaldem istnieje głównie w polskiej świadomości historycznej. Jest jednym z największych naszych symboli narodowych, a równocześnie symbolem naszej zwycięskiej walki z Niemcami, walki słowiańszczyzny z wkomponowaną w niemiecką logikę dziejową parciem na wschód (Drach nach Osten). W niemieckiej świadomości historycznej nazwa Grunwald, jako miejsce przegranej wielkiej bitwy w 1410 r. nie istnieje. W 5-tomowej encyklopedii („Der Brockhaus in fünf Bänden” z 1994 r.) nie ma hasła Grunwald. Jest za to hasło Tannenberg i krótka wzmianka o bitwie. Faktycznie Tannenberg, czyli polski Stębark leży około 20 km od Grunwaldu, pod którym rozegrała się bitwa z Krzyżakami. Trudno dziś powiedzieć, jak to się stało, że dla Niemców historyczna bitwa rozegrała się pod Tannenbergiem, a dla Polaków pod Grunwaldem. Czyżby zwyciężeni, nie mając czym się chwalić, szybciej tracili pamięć?

Dlatego gdy dowodzący 8. armią niemiecką marszałek Paul von Hindenburg i gen. Erich Ludendorff pokonali z końcem sierpnia 1914 roku prawie 200-tysięczną armię rosyjską gen. Samsonowa,

postanowili ogłosić, że miejscem zwycięstwa był Tannenberg, a nie Frygnowo (Frögenau), czyli miejscowość, gdzie faktycznie toczono walki. W ten sposób Niemcy przykryli polski (słowiański) symbol zwycięstwa pod nieznanym w Niemczech Grunwaldem i sławili swoje zwycięstwo, tym razem nad Rosjanami (też Słowianami), właśnie pod Tannenbergiem, w miejscu, w którym kiedyś ponieśli klęskę. To był dopiero zabieg „pijarowski”.

W 10. rocznicę zwycięskiej bitwy wmurowano kamień węgielny pod przyszły Tannenberski Pomnik Narodowy. Olbrzymia oktagonalna budowla z ośmioma 23-metrowymi wieżami, podziemnym muzeum, powstała po roku. Pieniądze zbierano w całych Niemczech. Uruchomiono specjalną loterię pieniężną. Odsłonięcie nastąpiło z udziałem marszałka Hindenburga, który (skąd my to znamy) odrzucał oskarżenia o wywołanie wojny i sławił siłę niemieckiego oręża. Do Olsztynka, w pobliżu którego stanął pomnik, przyjechało ponad 100 tysięcy ludzi. Hitler doskonale podtrzymywał symbol jedyne go tak wielkiego pomnika narodowego w Tannebergu, nadając mu dodatkowo rangę „świętości narodu”. W 1935 r. w podziemiach monumentalnego pomnika pochowano Hindenburga. W 1945 r. uciekający przed Sowietami Niemcy wysadzili ten pomnik w powietrze.

Oglądałem te resztki gruzowiska, nie wiedząc jeszcze wtedy nic o tym, jak polityka miesza się z historią.

Wojciech Reszczyński

„Nasz Dziennik” 11.12.08

Autor jest wicedyrektorem Informacyjnej Agencji Radiowej PR